ROK TRZECI.

№ 37.

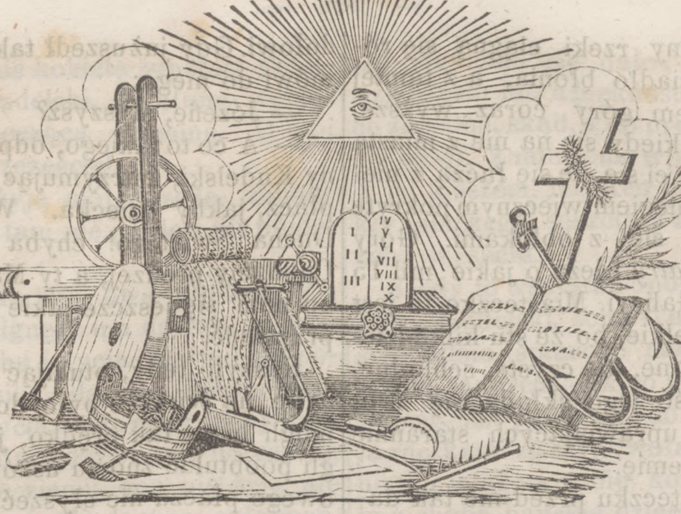
Warszawa

Dnia 31 sierpnia (12 września)

1858.

Niedziela

16ta po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Niechaj Twa łaska, prosimy Cię Panie! zawsze nas uprzedza i nam towarzyszy, a także sprawi, iżbyśmy za jej pomocą w dopełnieniu dobrych uczynków zawsze pilnymi byli. (Kollekta na niedzielę 16tą po Świątkach).

Wdowa idąca w świat z dziećmi.

—

Przed kapliczką, u rozdroża,
Gdzie w obrazie Matka Boża
We framudze umieszczona,
Klęczy wdowa — u jej łona
Dziecię śpiące, żywy kwiatek,
A prócz tego, troje dziatek
Przy matuli tuż uklękło.
Serce wdowy cicho jękło,
By dzieciny nie przebudzić.
Trudniej matce łzę ostudzić,
Łzę gorącą, bo mąż w grobie,
A tu bieda przy żałobie,
A tu dziatki, jej pieszczotki
Z nią na świecie jak sierotki
Tułać muszą się po świecie.
Biedne dzieci! —małe dziecię
U jej piersi; trzebaż, trzeba
Gdzie u obcych szukać chleba,
I pomimo pracy znoju,
Cierpieć nędzę w niepokoju,
Łzami rosić swe posłanie.
Cóż się z dziećmi potem stanie,
Jeśli sama zamknie oczy,
Gdy ją wieczna noc otoczy?...
Tak troskała się nieboga;
Lecz zwróciła myśl do Boga,
Poświęciła Matce Boskiej
Wszystkie serca swego troski,
Szczerze modląc się z dziatkami,
Więcej sercem niż słowami...

***

Spojrzała z nieba Boga-Rodzica,
Ku dobrej wdowie zwróciła lica,
I odtąd czuwa wciąż z aniołami
Nad biedną matką i dziateczkami.

Większe jest miłosierdzie Boskie, niżeli złość ludzka.

(Zdarzenie prawdziwe).

I.

—

W pięknej krakowskiej ziemi, niedaleko miasteczka Proszowic, prawie nad samą Wisłą, leży *Brzesko-Nowe*, niewielka także mieścina, ale w bardzo ładnem miejscu na

wzgórzu. Z tej strony rzeki ciągną się równiutkie jak zwierciadło błonia, a z tamtej najprzód lasy, potem góry coraz wyższe, coraz piękniejsze, i kiedy się na nie z miasta popatrzysz, to zdaje ci się, że się łączą z niebem, bo ich białe, śniegiem wiecznym pokryte wierzchołki stykają się z obłokami. Góry te nazywają się *Tatry* i leżą o jakie mil 15 od Brzeska już w Galicyi. Miasteczko to jest sobie prawda, niewielkie, bo ze stu-kilkudziesięciu domków złożone, ale czyste, schludne, bez żydów, a ludność jego składa się z obywateli rolników uprawiających starannie wdzięczną bardzo ziemię.

Otóż w tem miasteczku przed nie tak dawnym czasem, bo starsi dobrze to pamiętają, mieszkał zamożny obywatel, nazwiskiem Kudelski. Domek jego stał niedaleko kościoła, za nim sad wielki spuszczał się nadół ku owym błoniom nadwiślańskim, a na końcu stała duża z chruścianemi ścianami stodoła. Józef Kudelski bardzo uczciwy i pracowity obywatel, po ojcu niewiele dostał gruntów, ale żona mu wniosła parę stajenek, po bracie dostał trochę, trochę znów powoli przykupywał, dosyć, że w czasie, kiedy się ta historya zaczyna, chociaż był młodym, ale już za bogatego uchodził.

Niedaleko od miasta, także nad Wisłą, tylko ku lewej stronie, leży wioska *Hebdów* zwana, w której starodawny klasztor Norbertanów przywabia wielu podróżników, bo w istocie jest bardzo wspaniały, wielki i jeszcze w dobrym stanie, skoro co niedziela nabożeństwo tam odprawiano.

Jednego roku, w późnej już jesieni, na gruntach zachodzących klinem w pola hebdowskie, Kudelski kończył kopanie kartofli. Ściemniło się na dworze, bo deszcz rzęsisty od kilku godzin padał, ale że Kudelskiemu pilno było wykopać resztkę owych kartofli, czyli jak tam nazywają ziemniaków, to uprosił sobie, że najęte kobiety spieszyły się jak mogły, aby chociaż i mokro poznosić resztki do wozu. Taka robota przeciągnęła się do późna w nocy, i nim się wszystko ukończyło, z owego deszczu zrobiła się straszliwa burza z piorunami, błyskawicami i grzmotem. Konie ruszyły, kopacze poszli drogą obok wozu, a Kudelski wraz z żoną chcąc się prędzej dostać do domu, puścił się znajomą ścieszką ku dołowi. Gdy już uszedł tak ze dwa staja, żona mówi do niego:

— Józefie, słyszysz?

— A co to takiego, odpowiada przestraszony Kudelski, zatrzymując się nieco. To jakiś płacz, jakby dziecka. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! chyba złe jakie albo co. Chodźmy prędzej, a ty Magdo nie oglądaj się, bo nam się jeszcze jakie nieszczęście gotowo przytrafić.

Ruszyli tedy, otulając się przed deszczem, a że na ścieszce było dosyć ślizko, więc nie mogli biedz tak prędko, jak chcieli, i nie mogli poobtulać znowu uszów tak dobrze, żeby owego płaczu nie słyszeć.

— Józefie mój kochany, mój drogi Józefku! zawołała naraz kobieta, to musi być dziecko i to gdzieś w rowie tu niedaleko...

— Ej! baj baju, zdaje ci się; coby o tej porze i w tem miejscu robiło, to udaje psia wiara, aby człeka zmanić.

— Oj nie udaje nie, wyraźnie dziecko i dziecko mój Józefku, ja pójdę nad rów.

— Nie rób głupstwa, mówi do żony, ale skoro się ona uparła, że pójdzie i pójdzie, to chcąc nie chcąc, a co krok żegnając się, zboczyli ze ścieszki, i brnąc po mokrej trawie, a kierując się za głosem, szli oboje, trzymając się za ręce. Naraz koło nich pod jakimś krzakiem zapłacze najwyraźniej owo dziecko.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! zawołał Kudelski, to chyba jakieś dziecko niechczone woła chrztu. Ale nim to wymówił, jak się rozedrze niebo, jak nie błyśnie, to naraz oświeci niby we dnie całą okolicę, a Kudelska zobaczywszy coś w bieli leżącego pod krzakiem,

— Jest, jest Józefie, krzyknie i skoczy naprzód.

W samej rzeczy, pod owym krzakiem, kiedy z wielkim przestrachem zaczęli macać oboje, natrafili na trupa; była to kobieta, jak się zdaje bez żadnej przytomności leżąca.

— To trup mój Józefie — o rany Boskie! ja się okrutnie boję.

Lecz Kudelski jako mężczyzna, gdy zaczął wstrząsać owem ciałem, przekonał się, że jest zupełnie zimne, i że mimo to trzyma rękami i sobą przygniata małe, może dwuletnie dziecko, które z osłabienia zaledwie już oddychać mogło.

— Dziecko żyje, ale kobieta zupełnie skostniała, odzywa się Kudelski, gwałtem wyciągając zpod trupa jęczącą dziecinę. O mój Boże, cóż to za nieszczęście!...

— Może jeszcze żyje mój Józefie, zobacz na miłość Boską, ja tam nie pójdę i nie pójdę, bo się tak boję...

Podniósł więc całą siłą ową kobietę, ale bezwładne członki lgnęły mu do rąk, opadając bez żadnego ruchu i życia. Darmo nią potrząsał, darmo się silił, darmo śledził bicia serca... ani iskierki życia, trup, prawdziwy trup.

— Ha! niema rady, odzywa się nareszcie, składając umarłą na ziemi; ona nie żyje, ale dziecko trzeba zabrać. Biedactwo spłakane, może i głodne; patrz... już płakać nie może, tylko robi piersiami—o mój Boże, mój Boże! jakież to nieszczęście!...

Zawinęła się tedy Magda i co miała na sobie suchego, zdjęła zaraz, owinąwszy dziecko. Na dworze zrobiło się jeszcze ciemniej, grzmoty ustały, lecz deszcz gwałtowny jakby z cebra lał z nieba. Utykając więc i ślizgając się co chwila, spieszyli się Kudelscy ku domowi; on nie wiedział, co o tem myśleć, a ona tuliła dziecinę do piersi, okrywała od deszczu, i ile razy jękło, to i jej serce się z żalu krajało. Czyje to być może, co to za kobieta, a jakież nieszczęście, powtarzała sobie, przemyślając, gdzie go na noc położy, co mu da jeść, i czy Józef zgodzi się, aby je wzięli za swoje; bo chociaż przed rokiem dał im Pan Bóg dziewczynkę i ta się ładnie chowała, to jednak skoro takie mieli przeznaczenie, że znaleźli ową sierotę, to jużci nikt do niej nie będzie miał prawa i oni mogą wziąć ją za swoje.

Już nie wstąpił do domu Kudelski, a tylko poleciwszy żonie, by o dziecku pamiętała, tak jak stał, cały przemokły, pobiegł do burmistrza. Nim rozbudził policyanta, ten pana sekretarza, a ten znowu burmistrza, zeszło kawał czasu. Wziąwszy ze sobą latarkę i dwóch jeszcze ludzi, poprowadził ich Kudelski na owo miejsce; obejrzeli tedy kobietę: była nie żywą; ale na wszelki wypadek urządziwszy nosze, wzięli ją na nie i do burmistrza przynieśli. Musiała to być jakaś z zamożniejszego stanu kobieta, bo miała na sobie cienką bieliznę, ładne trzewiki, ale bez żadnej zwierzchniej sukni. O ile ze zmienionych rysów twarzy odgadnąć się dało, mogła mieć około trzydziestu lat, a piękności niezwyczajnej; lecz co za jedna, skąd, i co tu robiła, nikt tego dojść nie mógł. Znaleziono wprawdzie jakiś papier w jej kieszeni, lecz ten był zupełnie przemokły, dlaczego sekretarz kazał go schować, ażeby wysechł.

Kiedy to wszystko opowiadał, wróciwszy do domu Kudelski, żona tymczasem pokazała mu swobodnie śpiącego chłopaczka, i mówiła z wielką radością, jak go otrzeźwiła, jak mu dała jeść, jak przyszedł do przytomności i wziął ją rączkami za szyję, wołając: mama... jaką cieniutką miał na sobie koszulinę, i że to musi być chyba pańskie dziecko...

Nazajutrz, skoro w miasteczku dowiedziano się o tym wypadku, drzwi w mieszkaniu Kudelskiego wcale się nie zamykały; wszyscy przychodzili dowiadywać się, jak to było i oglądać znalezione dziecko, które pod wieczór zrobili hrabiątkiem, bo miało cienką koszulinę, a newet szeptali sobie pocichu, że musiały przy niem być jakie pieniądze, tylko mądry Kudelski o tem nie gada, bo nie brali by tak ochoczo dziecka do siebie i nie zostawiali na wychowanie. Burmistrz napisał zaraz do sądu, zjechała kommissya z doktorem, obejrzeli ciało zmarłej, pokrajali całe i wyrzekli, że umarła z wycieńczenia i głodu. Potem przywołano obojga Kudelskich, którzy opowiedzieli pod przysięgą, jak się to wszystko stało i że dziecko póki się tam kto nie zgłosi, zatrzymają u siebie. Z owej zaś kartki przy zmarłej znalezionej, tyle można było wyczytać, że było jej na imię Kornelia i że to był chyba list do niej od męża pełen grubiańskich słów i wymyślań; ale że podarty, a litery wymokłe, więc co była za jedna, zkąd, kto ten mężczyzna, co go pisał, nikt dojść tego nie potrafił.

Sąd pojechał, kobietę na miejskim cmentarzu pochowano, kartę na znak burmistrz oddał Kudelskim i wszystko się skończyło. Przeszedł miesiąc, dwa, trzy, rok jeden, a mimo różnych ogłoszeń i śledztwa, nikt się po chłopaczka nie zgłosił. Kudelscy też i niebardzo byliby temu radzi, bo przywiązali się już do dziecka jakby do swego, ono zaś było zdrowe, wesołe, bawiło się z ich Anusią jakby brat z siostrą, i nie czuło biedactwo, że jest sierotą bez nazwiska i familii. Kudelska za

zgodą księdza proboszcza dała mu imię Józef, powiedziała mu, że jest jego matką, a chłopiec obejmując jej szyję drobnemi rękoma całował i pieścił, wołając na nią mamuniu, a Kudelskiego nazywając tatusiem.

Rósł więc znaleziony Józef wśród nowej familii, rosł sobie wesoło i szczęśliwie, zawczasu przyzwyczajając się do pracy i znojów; albowiem Kudelski jak sam był pracowitym, oszczędnym i gospodarnym, tak chciał, żeby i wszyscy go otaczający podobnymi się stali. Lecz w dwanaście lat potem Bóg zabrał do chwały swojej kochaną jego Magdusię, przyszła cholera i zmiatając ludzi po mieście, nieoszczędziła Kudelskiej. Biedny Jozef, choć już wiedział, że ona nie była jego matką, rzewnemi łzami oblał grób swej opiekunki, bo kochał ją lepiej może, niż rodzoną matkę, której nie znał. Smutno więc i boleśnie przechodziły mu dalsze dni tego życia i nie było dnia, żeby się nie pomodlił za jej duszę, żeby nie westchnął i nie popłakał z Anusią, która już na dużą wyrosła dziewczynkę i całem sercem przywiązała się do niego, jako do towarzysza wszelkich zabaw i pamiątek z lat dziecinnych. Kudelski takoż długi czas żałował ukochanej małżonki, stracił ochotę do pracy, chodził nie swój, wzdychał, narzekał, a Józef objąwszy całe gospodarstwo, czy z pługiem, czy do siana, czy z końmi na paszę wyjeżdżał sam jeden, pilnując jego dobytku lepiej może, niżby to na swojem robił. Ale jak to bywa na świecie, Kudelski w rok potem już się uspokoił w swoich żalach, a nawet opętany przez kumoszki zaczął myśleć o innej małżonce.

Wiadomość ta niebardzo była na rękę Anusi—była dorosłą i wcale ładną dziewczyną, czuła się na siłach prowadzenia gospodarstwa w domu ojca, a tu ni ztąd ni zowąd ojciec się żeni i to z kobietą zamożną, to prawda, ale babą sekutnicą, którą w całem mieście ze skąpstwa i złośliwości znano. Nierad był z tego i Józef, ale cóż było robić? Odbyło się wesele huczno, wesoło, i nowa gospodyni weszła do domu. Jak wszyscy przewidzieli, zamiast spokoju, kupił sobie Kudelski piekło. Caluteńki dzień Boży latała baba jak opętana po wszystkich kątach, krzyczała, wymyślała, choć nie było o co, Anusia płakała, Józef posmutniał, a stary Kudelski skoro się odważył powiedzieć jakie słówko, tyle miał kłopotów i wyrzekań, że tylko westchnął, czapkę nacisnął i szedł z rozpaczy do szynkowni zapić troskę, co mu mrowiskiem osiadła na sercu.

Niby ostatni parobek, pracował Józef od rana do zmierzchu, a jeszcze nie mógł zadowolnić łakomej kobiety.—A ty darmozjadzie, a ty znajdo jakiś, będziesz tu darmo jadł chleb i nic nie robił. Wypędzę het! precz na cztery wiatry... tak, wypędzę leniuchu! Na Anusię również nie była łaskawszą; waliła na nią robotę jednę od drugiej cięższą i gdyby jej Józef nie pomagał, dawnoby nieboraczka utraciła dość wątłe zdrowie. Przytem głodziła wszystkich, chowając grosze, bo mówi, stary dziad niedługo kichnie, a ja z torbami o żebraczym chlebie iść po jego śmierci nie myślę.

Tak więc szło im życie przez lat kilka. Józef doszedł dwudziestego pierwszego roku, Anusia liczyła dziewiętnaście. A była najpiękniejszą dziewczyną w miasteczku, ztąd nie jeden młody obywatel wzdychał do jej ręki, i byłaby już dawno wyszła za mąż, gdyby nie kochana macocha. Nie chciało jej się wypuścić pasierbicy tak wcześnie i oddać część matczynego majątku; odstraszała więc konkurentów, wyliczając tysiączne wady Anusi, oczerniając przed wszystkimi. Lecz i dziewczyna niebardzo chętnie patrzyła na te zabiegi młodzieży—jej serce dawno, bo od lat dziecięcych przylgnęło do Józefa, który z swej strony byłby życie za nią oddał. Ile razy zeszli się wieczorem i siedli w ogródku za domem, to najprzód łzy boleści, potem westchnienia za dobrą matką, potem pociechy wzajemne, a w końcu projekta o przyszłej szczęśliwości. Józef od dwóch lat po nocach uczył się szewctwa, ona z szycia uzbierała sobie dość znaczną kwotę i właśnie w tym roku w dzień Wszystkich Swiętych mieli opowiedzieć zamiary swe ojcu, prosząc o błogosławieństwo.

Ale człek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Dowiedziała się kochana macocha o tych układach i przywoławszy Józefa, rzekła do niego:

— Słuchajno ty znajdo, co ja to tu słyszę od ludzi, że ty o Anusi myślisz.

— A choćbym i myślał, to cóż w tem złego, odpowiada ze śmiałością Józef.

— Tak, doprawdy? a z czego żyć będziecie, co? Może myślisz, że ja dam co?— ani na obwinięcie palca. Patrzajcie go, znajda jakiś, przybłęda śmie podnieść oczy na córkę

obywatelską. Ani sobie myśl o tem. Ja dla Anusi mam męża nietakiego hołysza i próżniaka jak ty jesteś. Cóż ty masz?

— Dwoje zdrowych rąk i chęć do pracy, a przy pomocy Boskiej to dosyć...

Zrobiła się z tego wielka awantura, kłótnie, przekleństwa i obraza Boga. Napróżno Anusia padała do nog obojga rodziców, płakała i zaklinała, że ona bez Józefa żyć nie może, że za nikogo innego nie pójdzie. Napróżno stary się gniewał i prosił żony o pozwolenie; ona jak się uparła, tak ani weź, nie i nie. Nareszcie udobruchała się niby i rzecze:

— Twoje szewctwo Józefie! na nic się nie zda, mojej pasierbicy za szewca nie wydam. Chcesz, to idź do roboty jakiej, a jak uzbierasz tysiąc złotych i mnie pokażesz jako są twoje, żeńcie się... ja pozwolę.

Nie było co mówić z upartą babą; Józef westchnął, oczy mu łzą zaszły i zdesperowany wyszedł z izby, myśląc, iż pewno przez całe życie tyle pieniędzy nie zarobi. Stary Kudelski pocieszał go jak mógł, Anusia płakała także, ale taką okazała moc ducha, taką wiarę w opatrzność Boską, że poradziła Józefowi, aby rzucił ten dom, i poszedł w świat na zarobek.

— Mój drogi, nie wątpij, mówiła, trzymając go za rękę, ja już mam blisko trzysta złotych gotówki, w rok jaki przy oszczędności mam nadzieję, dołożę jeszcze sto złotych, a ty idź do mularzy, to da Bóg tysiąc się złoży.

Na drugi dzień wysłuchawszy mszy świętej, wyspowiadawszy się i przyjąwszy Najświętszy Sakrament, po czułych pożegnaniach z biednym Kudelskim i zasmuconą Anusią, kiedy upadł do nóg macosze i rzewnie płacząc, dziękował jej za wszelkie dobrodziejstwa, które mu niby wyświadczyła, to wszyscy obecni nie mogli się od łez wstrzymać, a tylko ona uśmiechając się szyderczo, mówiła: dobrze, dobrze, idź, zarabiaj, naucz się pracować, nie tak jak u nas i nie pokazuj się bez tysiąca.

(Dokończenie nastąpi).

Gołębie.

—

Wszystkie zwierzęta, raz przez człowieka przyswojone, znane u nas pod nazwą domowych, zmieniają niejako swoję naturę, tak, iż bez jego opieki niezdolneby się już były utrzymać. Koń i wół żyją zamknięte i uwiązane, owiec strzedz muszą budynki lub urty, inaczej stałyby się pastwą dzikich zwierząt, podobnież jak i ptastwo domowe, które w lataniu uchrony znaleść nie zdoła; jeden tylko gołąb' stanowi w tej mierze wyjątek. Pomimo to jednak, iż przyswojenie go nie zwichnęło w niczem władzy jego lotu, zawsze on wiernym pozostaje rodzinnej swojej strzesze; jeżeli w dzień odległe robi wycieczki, to zawsze wieczorem powraca do domu. Ztąd powstało mniemanie, iż gołąb' lubi i szuka towarzystwa człowieka—ale naturaliści nie polegając na pozorach, i badając bliżej naturę i nałogi tych ptaków, doszli do wypadków, które mniemania tego bynajmniej nie stwierdzają.

Gołębie więcej niż inne zwierzęta ulegają dwom panującym uczuciom: najprzód lubią łączyć się w wielkie stada, jakby w liczbie szukały obrony, potem, tam tylko przebywać, gdzie pożywienie znajdują obfite, ponieważ głodu więcej nad 24 godzin nie znoszą. A tak mają tylko uczucie swojej słabości i potrzeby pokarmu.

Gołąb' uchodzi powszechnie za wzór i godło miłości rodzinnej—i w samej rzeczy pod tym względem wiele od innych ptaków się różni, bo długo zna swoje dzieci, okazuje im przywiązanie i troskliwość, nawet wtenczas, kiedy już same wyżywić się mogą.

Każdy z was zapewne zna mniej więcej obyczaje tych ptasząt łagodnych i wiernych nie rodzinnemu gniazdu, ale dachom, gdzie mają ochronę i żywność, ich zgodę i wzajemną troskliwość. Gołębie łączą się w pary na zawsze, i ciągle widać je z sobą razem.

Gołębica znosi zwykle dwa jaja na raz, wysiada je starannie, a gdy około południa opuści gniazdo dla szukania żywności, samiec pospiesza miejsce jej zająć. Młode wylęgają się gołe i ślepe; wtedy pomnażają się troski rodziców, czuwają nad niemi z zadziwiającą pilnością, nawet wtedy, gdy latać już mogą. Zawsze prawie wylęga się para złożona

z samca i samicy, gdyż natura przeznaczając je do życia w parze, pamięta, aby się równa ilość płci obojej rodziła. Czasem zdarza się wyjątek od tej reguły, co poznać daje ciekawy szczegół. Kiedy się razem samczyk i samiczka wylęgną, obadwa ptaszki sadowią się jeden koło drugiego z dziobkami ku sobie zwróconemi, jeśli zaś są jednej płci, obadwa mają dziobki w jednę stronę obrócone. To położenie zachowują ciągle, od wyklucia się aż do opuszczenia gniazda. Zapewniają, że dwa ptaki razem wylęgłe, nigdy się nie opuszczają i zawsze są do siebie przywiązane. Lot bardzo szybki, którym w krótkim czasie wielką przestrzeń przebywają, jest jedyną ich obroną przeciwko nieprzyjacielowi.

Jak gołębie domowe lubią żyć gromadnie, tak dzikie żyją w stadach prawie nieprzeliczonych. Ptaki te w stanie dzikim okazują rozum godny zastanowienia. Szczególnie w Ameryce północnej uważano obyczaje i cel ich częstych wypraw czyli przelotów, które nadały im niewłaściwie nazwisko ptaków wędrujących. Gołębie lecą daleko za żywnością, nie zaś dla szukania cieplejszego klimatu.

Wędrujące gołębie amerykańskie, daleko silniejszy mają lot niż nasze europejskie. Doświadczenia przekonały, że w niespełna sześciu godzinach przebywały przestrzeń przeszło 60 milową, to jest więcej, niż po 10 mil na godzinę. Obok tego wzrok mają tak doskonały, iż z znacznej wysokości dostrzegają owoce i ziarna, któremi pożywić się mogą, i wtedy podróż swą kończą. W przelocie trzymają się wysoko i rozwijają front bardzo szeroki, ażeby tem większą przestrzeń kraju przeglądać mogły. Zrobiwszy dobre odkrycie, zniżają się w największym porządku, śledzą położenie, i z wielką ostrożnością spuszczają się na ziemię. Jeżeli czarny jastrząb, ów zbójca żarłoczny, zagraża tylnej straży, wnet szeregi się ścieśniają, tworzy się gęsta kolumna, wykonywa najpiękniejsze ewolucje (obroty) powietrzne, to spuszczając się z gwałtownością ku ziemi, to wzbijając się w niedościgłe okiem niebieskie szlaki. Kiedy powtarzanemi zygzakami pogoń wroga znużą, ogładzają pole z szybkością niepojętą, i wznosząc się znowu jak wspaniała kolumna, rozwijają swoje szyki, nakształt zwijania się węża.

Te wojska gołębie zajmują często milę szerokości, i w kilku godzinach odbywają swą podróż. Obliczono że w trzech godzinach jeden miljard, sto piętnaście miljonów gołębi przebyło. Cyfrę tę dlatego tylko tu powtarzamy, że ją znakomici podróżni i naturaliści poświadczają. Można sobie tedy wyobrazić, jak wiele taka massa potrzebuje żywności, i pojąć, dlaczego tak często miejsce pobytu swego zmienia. Kiedy wieczorem na nocleg się spuszczają, pokrywają znaczne przestrzenie lasu, mają nawet niektóre miejsca sobie ulubione, gdzie codzień na spoczynek wracają.

Znakomity w stanach zjednoczonych (w Ameryce) naturalista p. *Andabon*, naoczny świadek, tak mówi: Zwiedziłem raz podobne miejsce spoczynku, niedaleko *Groen river* (zielonej rzeki), w stanie Kentucky. Była to najpiękniejsza część lasu, w której drzewa wyrosły do olbrzymiej wysokości, na pniach prostych oddzielnych, gdzie nie było żadnych krzewów i gęstwy mogącej lot utrudniać. Przebywszy znaczną część tego lasu, mało dostrzegłem gołębi, ale mnóstwo myśliwych na koniach, z wozami naładowanemi bronią i prochem. Urządzono obozy w miejscu, gdzie się spodziewano najwięcej gołębi. Dwaj dzierżawcy z okolicy Rustelstown przypędzili 300 świń, ażeby je w krótkim czasie pożywną karmą z gołębi utuczyć. Tu ptaki w ogromnych stosach przygotowane były do solenia, tam już zasolone leżały. Wszystko to dawało mi obraz olbrzymiej rzeźnicy, gotowej do dalszego prowadzenia tyle niszczących łowów. Ale najwięcej zdziwiony zostałem wiadomością, że te ofiary przybywają co wieczór ze stanu Indiana, gdzie mnóstwo mają żywności, ażeby w Kentucky szukać spoczynku pod zabójczym ołowiem myśliwych. Wylatując z okolic Jeffersonstown, ulatywały co wieczór 100 mil francuzkich (około 60 mil polskich) i ze świtem wracały w swe miejsce. Cała przestrzeń ich siedliska okrytą była ich pomiotem na kilka cali grubo. Na widok tak ubielonego pola, połamanych drzew i gałęzi, sądzićby można, że trąba wietrzna tę część lasu nawiedziła i że ostra i śnieżysta zima zaraz nastąpiła po burzy.

Zbliżała się pora łowów, wszyscy myśliwi byli gotowi, każdy wedle naznaczonej sobie powinności. Jedni nieśli siarkę w żelaznych

garnkach, inni opatrzeni byli w żerdzie, lub tłuste smołówki sosnowe. Pierwsi myśliwi, po dwie i trzy strzelby mieli.

Słońce już zaszło, a jeszcze żadnego ptaka nie było widać. Nagle ozwały się głosy: już lecą! już lecą! Szum, jaki zbliżając się czyniły, podobny był do świszczącej burzy, gdy szarpie liny i żagle okrętu. Kiedy kolumna gołębi przelatała na moją głową, uczułem jakby silny wicher i nacisk powietrza. Wnet od strzałów padło tysiące ptaków; pomimo to kolumna zwiększała się nieustannie. Ognie ze wszech stron zapalone, oświecały ten zarazem okropny i wspaniały, a w mojem życiu jedyny widok. Miljony przybywało gołębi, cisnęły się jedne na drugie, jak pszczoły pod czas rojenia; gałęzie łamały się pod ich ciężarem i padały wraz z niemi na ziemię, a druzgocząc po drodze gałęzie, zabijały zarazem wszystkie do nich przyczepione gołębie. Wśród tego zgiełku i zamieszania próżno było odzywać się do sąsiada, krzyk nawet gubił się w powszechnym zgiełku. Gdzie niegdzie tylko górowały na nim wystrzały palnej broni.

Roztropność doradza nie przystępować zblizka do tego miejsca spustoszenia i rzezi; nawet trzoda wstrzymywaną być musi do czasu, aż bezpiecznie wpuszczoną być może; dopiero na drugi dzień z rana rozpoczyna się zbieranie pobitych i rannych. O pół nocy dopiero przestały się gołębie zgromadzać na to nieszczęśliwie umówione miejsce; rzeź zaś trwała aż do dnia. Gdy świtać zaczęło, łoskot odmienny uszy moje uderzył. Całe stado wzleciało naraz, pozostawiając opuszczone swe grzędy. Wtedy zmieniła się nagle scena; usłyszeliśmy wilki wyjące, lisy, ostrowidze, niedźwiedzie i wszystkie krwiożercze zwierzęta wystąpiły ze swych kniei, by korzystać z obłowu; dalej orły i jastrzębie, za niemi nienasycone kruki i wrony czychały na korzyści z tej nocy okropnej.

Ta scena cudowna, skreślona przez świadka zasługującego na wszelką wiarę, podobną się zdaje do czarodziejskich powieści, i jest dowodem niewyczerpanych środków natury, której tajemnic jeszcze tak mało znamy.

Poselstwo Żurawińskiego.

Rok 1621 strasznym był dla ziemi naszej. Czterykroć sto tysięcy turków, wspartych niezliczonemi hordami tatarów, ponawiając wojnę w poprzednimi roku toczoną i śmiercią hetmana Zólkiewskego na polu bitwy pod Cecorą, przerwaną, umyślili zawojować całą Polskę, i tak obaliwszy jedyną zaporę i tarczę chrześciaństwa, na świat cały wyznanie Mahometa rozciągnąć.

Przeciwko nim Polska zaledwie wystawić mogła 75000 wojska, licząc już i z wiernymi wspólnej ojczyznie kozakami, którzy pod dowództwem Piotra Konasiewicza przyciągnęli i mieli też zaszczyt pierwszego spotkania z nieprzyjacielem. Osman bowiem cesarz turecki, pamiętny szkód i obelg od kozaków, na nich naprzód zemstę swą wywrzeć pragnął. Całą więc potęgą sił swoich ciężył nad ciągnącem wojskiem kozaków. Przez 8 dni i nocy ci zręcznością i męztwem odpierając nieprzyjaciela, do obozu polskiego dążyli, gdy oddział ich ze 130 ludzi złożony, zapędziwszy się za łupem od reszty wojska, odciętym został. Ci walczą długo, a gdy już tylko 70 zostało, wpadają do obszernej jaskini; tam umocniwszy wejście pniami drzew i cierniami, trupem kładą szeregi nacierających na nich. Zapalają turcy przed otworem jaskini mnóstwo siana i słomy, chcąc tym sposobem zawartych podusić; ginie z nich wielu, reszta jednak gasi płomień i walczy znowu. Cesarz Osman będący świadkiem takiego męztwa, nakazuje dostać ich żywcem. Długo jeszcze walczyli kozacy, aż nakoniec osłabieni ciągłym bojem, trawieni pragnieniem i głodem, gdyż dni kilka bez pokarmu pozostawali, poddać się byli zmuszeni. Nie umiał jednak ocenić Osman męztwa i nieszczęścia; tyran ten rozdrażniony walką tak wytrwałą wszystkich 30, których w ręce swoje dostał, śmiercią ukarał.

Tymczasem złączyła się reszta kozaków z wojskiem polskiem, a Osman postrzegłszy, jak wszystkich jest mała garstka, wyrzekł, iż nie weźmie jadła ani napoju, dopóki tego wojska nie wyniszczy. Nie tracąc więc ani chwili, uderzył na obóz polski. Drżała od huku dział ziemia, pałało płomieniami powietrze, straszliwy krzyk barbarzyńców wznosił się do ko-

ła, ale nieustraszeni polacy mężnie odpierali napad; owszem wypadłszy z szańców, samych turków do ucieczki zmusili— aż też noc przerwała walkę.

Widząc Osman to niepowodzenie, postanowił wielkim i niespodziewanym czynem powetować dotychczasowe porażki. Pociągnął więc z częścią wojska pod Kamieniec Podolski i takowy zdobyć postanowił. Lecz doznawszy niepowodzenia w pierwszym napadzie, przypatrując się bliżej twierdzy, zapytał Wezyra: Któż tu tę skalistą postawił warownię? Sam Bóg, odpowiedział Wezyr. Niechże więc, rzecze Osman, sam Bóg kiedy chce, dobywa jej sobie. I napowrót przed obóz polski powrócił.

Długo tak mężnie walczono, a Osman złamany ciągłemi klęskami, okazał skłonność do pokoju i z posłami polskimi rozpoczął umowy. Zdawało się jednak, że te spełzną na niczem, chociaż niezmierne niebezpieczeństwo zagrażało garstce otoczonych polaków. Żądał bowiem Osman, aby starszyzna kozacka śmiercią za najazdy Turcyi ukaraną była. Ale polacy niezwykli opuszczać i zdradzać sprzymierzeńców swoich, odpowiedzieli, że kozaków wzięła Polska na wiarę swoję, i jak walecznym ludziom dotrzyma jej statecznie. Przekładali więc turcy ogromną potęgę swoję, przekładali, że mocarstwa europejskie, patrzą obojętnie na walkę całego pogaństwa z gastką wybranych chrześcian, że więc polacy na żadną z ich strony pomoc liczyć nie mogą, a samym sobie pozostawieni uledz muszą.. Nie straszyło i to polaków i Żurawiński, jeden z jej posłów odpowiedział: Jeżeli sułtan Osman życzy sobie pokoju, nie odbiegamy i my od niego — wsparcia naszego od Boga czekamy. W toczonych też codziennie krwawych walkach, nie widzimy powodów ni turkom do zbytniej chluby, ni do bojaźni polakom. Dalsze zwycięztwa i klęski Bogu tylko światome.

Szczególne przywiązanie psa.

W roku 1812, w czasie pamiętnej wojny w armii francuzkiej, byłkapitan Jaroszyński, który miał przy sobie sukę wyżlicę. Wszędzie mu ona towarzyszyła i na polu nawet bitwy, oswojona z wrzawą wojenną, zawsze przy panu była. Jaroszyński w jednej z utarczek ugodzony śmiertelnym postrzałem, skonał niedługo. Widziała wyżlica umierającego pana, i ostatnie jego tchnienie przeraźliwém ogłosiła wyciem. Odtąd nie odstępowała ciała; nadaremnie podawano jej jadło, nic przyjąć nie chciała, ciągle tylko żałobliwie wyjąc. Musiano ją od zwłok zabitego odegnać, które gdy pogrzebiono, węchem doszła mogiły swego pana i starała się odgrzebać ziemię, co je przykrywała. Gdy jej w tem przeszkodzono, napadła na kapelusz stosowany kapitana Jaroszyńskiego, uniosła go w zębach, i nie dając go sobie wydrzeć, siadała na nim smutna i okropnie wyła. W poblizkości znajdował się wówczas cesarz Napoleon—jeden z jego świty spostrzegłszy ją i wypytawszy się o przyczynie wycia, wzruszony tem przywiązaniem, kazał ją wziąć do siebie. Lecz wszelkie starania były nadaremne, nie dała sobie kapelusza odebrać, rzucała się z wściekłością na każdego, co chciał wydrzeć tę drogą pamiątkę, a nie przyjmując żadnego pokarmu, wyrwawszy się z zamknięcia, na mogiłę swego pana przybiegła, gdzie wycieńczona dobrowolnym głodem, w parę dni, wyjąc ciągle, zdechła.

Przysłowia.

1. Zacznij z Bogiem, bo bez Boga
   Jest niepewna każda droga.
2. Pan Bóg, który prawdę lubi,
   Szachrajów karze i gubi.
3. Kto źle drugiemu radzi,
   Temu to wprzód zawadzi.
4. Językiem ludzi obędziesz,
   Lecz sumienia nie pozbędziesz.
5. Kto pragnie cudzego, postrada i swego.
6. Kto na małym nie przestaje, temu zawsze nie dostaje.

W drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 25 sierp. (6 wrześ.) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.